ROZMAITOŚCI.

Dnia 18. Października. N.^er^ 42. Roku 1854.

MANELLO MOSCHINI

z francuzkiego p. Antony Méray.

(Ciąg dalszy. Ob. Nr. 32. 33. 34. 35. 36. 37. 40. 41. Rozmaitości.)

X.

Ważna wiadomość w Gazecie.

List Giglii był następującéj treści:

„Znam twoje serce, kochany Manello, wiem że jesteś niespokojny o mnie i piszę na prędce kilka słów by cię uspokoić. Żeby tylko list mój zastał cię w Rzymie, bo może byłeś tak nierozważnym i pojechałeś za nami. Romolo nie jest mściwy, zdaje się że o wszystkiém zapomniał; w jego obejściu ze mną zaszła tylko ta zmiana, że już mi niemówi o swoich interesach kupieckich ani o swych projektach, bo tylko o tém dawniéj rozmawiał ze mną. Jest zawsze milczący i zimny, ale w niczém mi nieuchybia.

Dziś wysyła mnie do swego dworku niedaleko Ankony, bo chce restaurować i upiększyć swój dom w mieście. Bądź przeto spokojny o mnie. Za kilka tygodni wyjeżdża Romolo do Smyrny, a ja przyjadę do méj rodziny na moją małą uliczkę Mario-di-Fiori, gdzie się będziemy często widywali.

Będę oczekiwać tych chwil śród ptaków, fiołków i drzew cytrynowych.

Pocieszaj się więc mój najdroższy i myśl o twojéj *„Giglii.“*

Przeczytawszy tych kilka wierszy odetchnąłem całą piersią jak ockniony z głębokiego letargu; uczułem niewymowną ulgę.

— Zięć Maryi, pomyślałem, więcéj dba widać o spodziewany posag i o względy Signora Ettore Testacio niż o jego chrzesną córkę; niechce się narażać na niełaskę protektora swéj żony. Kiedy w Rimini utkwił w nas swój wzrok lodowaty, obliczał zapewne straty jakieby ponieść musiał jego handel, gdyby się dopuścił szkandału lub zabójstwa. Wolał więc znieść cierpliwie obelgę jako małżonek Giglii.

Tak byłem zgryziony, tak miotany niepokojem, że chwilę uważałem cierpliwość tego który mi wydarł Giglię, za prawdziwe szczęście. Dałem Plautilli list ten do przeczytania. Odczytała go spokojnie lecz z wyrazem głębokiego smutku na twarzy, i żądała ażebym jéj

wytłumaczył powody tego listu. Wtedy opowiedziałem jéj szczegóły naszego spotkania się w Rimini.

Ze łzami w oczach słuchała biédna Plautilla mego opowiadania. Ona także straciła swój żywy rumieniec. Twarz jéj smutna i blada otoczona jasnym włosem, wydała mi się piękniejszą niż kiedykolwiek. Ręka jéj, któréj uściśnienie uczułem w téj chwili, wzbudziła wemnie sympatyę żywszą niż zwykle. I ona równie jak ja zawiedziona była w wyborze swego serca.

Dotychczas niezastanawiałem się jeszcze nad podobieństwem naszego położenia; ale w téj chwili zajaśniało mi w duszy, pojąłem ile cierpienia jéj miały wspólnego z mojemi. Dotychczas ja sam tylko wynurzałem swe żale przed córką mistrza Angelo, a nieuroniłem ani jednego westchnienia jéj niedoli. Egoizm tak jest naturalnym w człowieku; tak łatwo człowiek sobie wyobraża, że tylko te bole których doznaje, są jedynie dotkliwe, jedynie zasługujące na udział, szczególnie kiedy jest zakochany. Te myśli zatarły różnicę wieku jaką zawsze widziałem między mną a Plautillą. Ująłem jéj głowę w moje obie dłonie, jak ona to zwykła była czynić ze mną i złożyłem braterskie pocałowanie na jéj skroni.

— Biedna kochana Plautillo, zawołałem, i pani także wiele cierpiałaś; i pani także doświadczyłaś że miłość jest największém nieszczęściem, jeżeli nie jest największém szczęściem!

— Manello mio! odpowiedziała ta zacna kobiéta, nie myślmy już o mojéj przeszłości, zapomniałam o niéj. Ah! gdybym jeszcze była wolna! gdybym z wolnością posiadała tyle młodości i piękności, ażebyś ty przy mnie mógł zapomnąć o twéj niedoli i znaleźć pociechę!

Te słowa były dla mnie promieniem światła; poznałem wtedy dokładnie że córka mego mistrza mnie kocha. To odkrycie niezasmuciło mnie bynajmniéj; owszem zdawało mi się żem znalazł kotwicę ratunku. Czułem że niebędę nigdy wstanie kochać ją jak Giglię; ale przez chwilę pojąłem jasno, że jedynie Plautilla zdolna była wrócić mi spokojność i odpoczynek po stracie méj piérwszéj miłości. W téj chwili rozrzewnienia rzekłem do niéj do łez wzruszony:

— Kochana, dobra Plautillo! koiłaś zawsze moje bole twoim anielskim wzrokiem i twym słodkim głosem. W oczach moich jesteś młoda i piękna, carissima mia. Zostańmy razem, droga przyjaciółko, i miejmy w Bogu nadzieję że nam przywróci twą wolność. Biédna Plautilla tak silna w nieszczęściu, o mało nieumarła z radości słysząc te moje słowa. Począwszy od tego dnia wszedłem w nowy peryod nadziei i szczęścia. Posiadałem miłość dwóch szlachetnych istot niezdając sobie sprawy z tego iż z taką łatwością mogłem podzielać moje uczucia. Pochodziło to może z chwilowego omdlenia sił méj duszy! Bądź co bądź, w tym stanie czułem się spokojniejszym. Miałem nadzieję że wkrótce zobaczę Giglię; a szczęśliwy byłem że żyję obok córki mistrza Angelo niebędąc zmuszony ją opuszczać.

Sądziłem że takie życie trwać będzie zawsze; ale niestety był-to tylko wypoczynek; nabywałem sił do znoszenia nowych cierpień.

Wziąłem się znowu szczérze do pracy, a mistrz Angelo był mną zachwycony. Rozpoczęliśmy wspólnie wielkie dzieło nasze. Piérwsza mozaika miała przedstawiać widok najpiękniejszéj ruiny włoskiéj: Amfiteatr Flawiusza. Pracowałem z największą gorliwością, i mogę powiedzieć że nigdy Kolyseum niebyłoby oddane w mozaice z tak majestatyczném podobieństwem, gdybyśmy byli mieli czas wykończyć to dzieło.

To życie regularne i pracowite trwało już kilka miesięcy. Od Giglii nieodebrałem późniejszéj wiadomości, i chociaż już minęła pora kiedy mąż jéj miał odpłynąć do Oryentu, jednak Giglia nieprzyjeżdżała jeszcze do swych rodziców. Czy mąż jéj odstąpił od swego zamysłu? Zacząłem się niepokoić o los Giglii, obawa zemsty męża udręczała mnie znowu.

Tę zmianę w mém usposobieniu spostrzegła Plautilla. Sądziła że czas przyniesie ulgę memu smutkowi, ale pomimo wszelkich usiłowań z jéj strony, by ugoić moje rany, stawałem się z każdym dniem smutniejszym. I mistrz Angelo spostrzegł, że gorliwość moja nagle się zmniejszyła.

Biedny starzec doznawał ztąd wielkiego zmartwienia: piérwsza sztuka świetnego zbioru jeszcze niebyła skończona; a najlepszy uczeń mistrza Angelo, ten którego nazywał swym współzawodnikiem i przyjacielem, zaczął się już zniechęcać.

Żalił się często przed swą córką na mnie, na moje zniechęcenie zaraz na początku świetnego zawodu. Używał wszelkich środków by mnie pobudzić do czynności. Pochlebiano mojéj miłości własnéj, dzienniki rozgłaszały moją sławę. Angelo Volpe, który chętnie swą sławę podzielał ze mną, przyrzekł mi że będę piérwszym, że będę mistrzem w jego pracowni, gdy nasza piękna robota zupełnie będzie ukończona.

Wszystkie te zachęty podniecały mnie tylko chwilowo, wnet bowiem popadałem znowu w dawną apatyę.

Pewnego poranku Plautilla weszła do mego pokoju z rumieńcem na twarzy i z wzrokiem ożywionym bardziéj niż zwykle; cała jéj nadobna postać wyrażała, że właśnie przebyła wewnętrzną walkę i powzięła stanowczą decyzyę.

— Manello, rzekła niesiadając nawet, nim odpowiesz na to co ci mam powiedzieć, przyrzecz mi, że zapomniesz czém dla ciebie byłam przez chwilę; przyrzeknij mi że będziesz ze mną otwarty, jakim byłeś robiąc mi swe wyznania pośród lagunów. Dziś chcę stać się twą matką, mój Nello, uważaj mnie za matkę i powiedz mi prawdę.

— Będę cię kochał, jak chcesz być kochaną, Plautillo mia; ale dlaczegoż ten wstęp uroczysty?

— Zaraz będziesz wiedział. Powiedz mi Manello, gdyby ta którą tak kochałeś, była teraz wolną, czy odzyskałbyś znowu odwagę i chęć do pracy? czy ubiegałbyś się znowu o sławę, namię-

tność dla sztuki czy obudziłaby się znowu w twém sercu?

— Ah! Plautillo, czemuż przemawiasz do mnie w ten sposób? Cóż ci może zależéć na méj odpowiedzi na podobne szaleństwo?

— Zaklinam cię, Manello, nie sądź że żartuję; odpowiedź twoja niechaj będzie równie szczérą jak moje zapytanie, bo wielką nowinę mam ci powiedziéć.

Spojźrzałem na nią; była na pozór spokojna; na jéj twarzy nie malował się ani gniew, ani szyderstwo, ani ciekawość; wiedziałem zresztą że podobne uczucia zupełnie są jéj obce. Niemogłem pojąć co nią mogło powodować do podobnéj mowy i nieśmiałem odpowiedziéć.

— Nieobawiaj się że się mi narazisz lub mnie obrazisz, mój kochany Nello. Wiesz, że cokolwiek ciebie może uszczęśliwić, to i dla mnie jest szczęściem.

Te słowa wymówiła głosem nieco drżącym.

— Dobrze więc! rzekłem, przyznam się, gdyby *ona* była wolna, byłbym z największą chęcią poświęcił dnie i nocy pracy by uzyskać majątek i sławę, gdyż to było jedynym środkiem do pozyskania jéj ręki.

— Ale teraz gdyby ci oddała swą rękę?

— Teraz zdaje mi się, odzyskałbym na taki wypadek znowu dawny zapał. Ale dlaczegoż...

— Dlaczego cię o to pytam? Oto czytaj.

I Plautilla dała mi numer dziennika „Diario di Roma“, gdzie wyczytałem, sądząc że mi się śni, następującą wiadomość:

„Otrzymujemy z Ankony doniesienie o nowém nieszczęściu na morzu. Statek „la Lupa“ należący do jednego z najznakomitszych kupców Ankony, w podróży do Smyrny rozbił się o wulkaniczne szkopuły otaczające wyspę Santorin. Ludzie i rzeczy zatonęły, nim jeszcze można było zdążyć na pomoc rozbitkom. Właściciel okrętu, Romolo Gangheri znajduje się także między ofiarami tego nieszczęścia. Zostawia wdowę młodą kobiétę, z którą się dopiéro przed kilkoma miesiącami ożenił w Rzymie.“

Co się we mnie działo po przeczytaniu tego listu, tego niejestem wstanie wypowiedziéć: serce moje zaczęło bić gwałtownie i zarumieniłem się jak gdybym się wstydził mego szczęścia. Zerwałem się nagle i otworzyłem okno, by odetchnąć świéżém powietrzem; zapomniałem o Plautilli.

— Jakże, Manello! cóż zamyślasz począć?

— Droga Plautillo, zawołałem, wszelka moja pociecha od ciebie pochodzi! Ale ty aniele co o tém myślisz? Powiedz mi co mam robić. Pewny byłem, pytając w ten sposób, że biédna kobiéta znowu zrobi z siebie ofiarę, i obłudnie prosiłem ją o pozwolenie, by ją opuścić.

— Odjedziesz, rzekła, połączysz się z nią nazawsze; mój ojciec uwalnia cię na ten czas od pracy, a ja... ja, Manello, niechcę być przeszkodą twemu szczęściu!

Za kilka dni opuściłem Rzym po raz trzeci.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

BRACISZEK ALFUS.

I dawnemi laty, dobrze przed Lutrem myśleli ludzie, a Niemcza wyglądała inaczéj niż po reformie. Po wzgórzach i u podnóża Alp ścieliły się klasztory, gmachy wspaniałe a ciche z dzwonicą na podniesieniu gdzieś między drzewami, swobodny przytułek ptactwu niebieskiemu i biedactwu na ziemi. Gnieździły się tam wprawdzie czasami zdrożności jakie rodzi próżnowanie i ciemnota, ale przemieszkiwali w nich także mężowie wiary, obojętni marnościom światowym, odosobnieni w świętości ducha, których umysł zajęty bywał jedyną myślą tego co Chrystus Pan tym przyrzekł którzy go miłują.

A żył o tym czasie w Ołomuńcu mnich jeden, którego pobożność i nauka rozniesła sławę mądrości w około, dusza prosta a skromna jak zwykle u tych co wiele wiedzą, bo umiejętność jest jak morze, im daléj w przestwór, tém szerszy okręg widoku, ale tém mniejszym czuje się człowiek.

I takim czuł się braciszek Alfus chociaż z mądrości słynął, lecz że się myślą zapędzał w nadziemskie przestworza, wątlał na duchu, i często wątpliwościom ulegał. I styrawszy siły na szukaniu prawdy, że się aż czoło zbruździło i włosy zbielały, przyzwał w pomoc wiarę „dzieciątek małych“ i poruczywszy żywot swój na wolę miłosierdzia bożego, podał się w pokorze czystéj miłości pańskiéj, marzeniom religijnym i nadziejom niebieskim.

Alić gorszące poddmuchy tępiły czasami swobodę świętą; nawracały chwilami pokusy umysłowe, a rozum zuchwale wyzywał wiarę na rękę. Wtedy braciszek Alfus smutniał, ciężkie chmury zasępiały słońce duszy jego, ziębło mu serce i modlić się nie mógł. Więc uciekał na pola, wdrapywał się na skały, stawał gdzie z hukiem spadały wody, błąkał się którędy lasy szumiały; lecz napróżno pytał natury — na wszystko co pytał, odpowiadały góry, fale i lasy to jedno i to samo: Bóg!

A z Bogiem w sercu wychodził zwycięzko brat Alfus w utarczkach, i za każdą walką utwierdzał się w wierze tém mocniéj, bo to pokusa jest tém sumieniu, czém jest szermierstwo dla ciała: nie łamie lecz wzmacnia.

Ale od niejakiegoś czasu zagabła braciszka jakaś dotkliwsza niż kiedy niespokojność. Uważał często że wszystko co piękném jest, traci swój wdzięk gdy się z niém dusza oswoi; oko znuży się najcudowniejszym widokiem, ucho znęka najsłodszym głosem, serce zwątleje przy najszczérszéj miłości; i pytał sam siebie: jakżeż człowiek znaleźć może w niebie żywioł radości „wiecznéj?“ cóż się stanie z żywością duszy w pośród rozkoszy bez końca? nie miałożby sycenie niezmienne sprowadzić niesmak i nudy?... Wieczność!... cóż ona ma znaczyć stworzeniu, które nie zna innego prawa prócz prawa zmian i migoty! Komuż-to z nas chcieć rozkoszy na całą wieczność? O mój Boże! zginie mi przeszłość, zginie przyszłość, nie będzie mi ani pamięci ani nadziei! wieczność! wieczność! zgrozo! co w tobie jest, że mię zatrważasz? i gdy łzy wyciskasz na ziemi, cóż znaczyć możesz w niebiesiech?

To dręczyło braciszka i dzień za dniem mnożyła się wątpliwość w sercu. Raz zadumany wyszedł o świcie z klasztoru, nim jeszcze bracia popowstawały, i puścił się dolinami.

Pola spulchnione od rosy zaczęły się rozjarzać do pierwszych promieni zarania, i uśmiechały jak dziecię we łzach tak lubo. Alfus ścieżkami schodził zwolna po-pod cieniste wzgórza, właśnie poprzebudzały się ptaszki i trzepotały w zarośli zroszonéj, tu i ówdzie zakrzepły motylek rozwietrzał do słońca skrzydełka zwilżone. Mimowolnie stanął przypatrzyć się polom rozlegającym, myśl przypo-

mniała, jak te niwy bywały niegdyś dla niego piękne kiedy po raz piérwszy je widział, z jaką tęschnotą pragnął przy nich wiek spędzać do schyłku żywota. Aleź-bo wtedy dla niego, mieszkańca murów warownych w mieście kwiaty, drzewa, wonne powietrze były nowością i upajały. I przyszły wspomnienia z nowicyatu kiedy się wycieczki robiły dalekie, a jakie odkrycia bywały zachwycające! strumyki szemrzące, chłodne gaiki gdzie się słowik spowiadał; a ten głóg, ta malina, jak wabiły cudownie, kiedy z nienacka w oko popadły! Co to za rozkosz bywała gonić ścieżeczką bitą pomiędzy zarośle, dopaść studzienki u źródła jak krzyształ czystéj, i sunąć po murawach stopą ludzką nie tkniętych! — Ale ah! zmarniały te wszystkie uciechy; przebieżało się wszystkie manowce lasu, przesłuchało spiewotę ptasząt wszystkich, uzbierało się ze wszystkich kwiatów, i cóż ztąd? marność marności! Bóg was żegnaj nadobne pola! Oswojenie zsunęło się jak zasłona między oko moje a dzieło boskie, i człowiek stał się głuchym i ślepym na wszystko.

Jak człowiek co z przesytu gorących napojów już mocy trunku nie czuje, patrzał Alfus z obojętnością na widoki które przed laty go zachwycały; i pomyślał: jakież-to mogą być piękności niebieskie, żeby duszę zachwycały po wszystkie wieki, kiedy cudowne dzieła boskie na ziemi, duszy nie bawią jak tylko chwilkę?

I nad tém dumając zapuścił się wgłąb dolinami. Głowa schylona, ręce zwieszone, szedł, szedł niepatrząc, mijał strumyki, gaje, wzgórza przechodził, już i dzwonica znikła z widoku i Ołomuniec z klasztorem, z twierdzą w zamroku zapadł, już i gór w dali niebyło widać.

Nagle mnich staje, bo się zapędził w las nieprzebyty, wrząs gałęzi zaszumiał nad nim, a każdy listek zawestchnął wonią. Rzuca lękliwie w głąb okiem i waha się iść daléj jakby poniewolnie zakaz jaki przekraczał, i tylko ze drzeniem posuwa kroki. A przed nim las coraz większy, konary coraz dziwniejsze, liście obwisło kwieciem mu nieznaném, a z kwiecia wychodziły zapachy niepojętéj woni. Woń szczególniejsza, dziwnéj mocy, bo nie upajała jak zwykłe zapachy, ale krzepiła sposobem jak tchnienie moralne kiedy duszę przenika; było-to coś tak silącego jak wspomnienie dobrego uczynku w sercu, weselącego jak powitanie szczerego brata.

W tém zalatują go dźwięki osobliwsze, dziwna przebija się harmonia tonów zapełniająca las cały, i tém wdzięczniejsza im więcéj się zapuszczał; aż w dali postrzega płoninę jaśniejącą światłem cudownem. Lecz co go najmocniéj zastanawia, że te wonie, ta melodya i to światło wydają się jak coś zespolonego czego rozłączyć niepodobna, wszystko troje zlało się w szczere pojęcie tylko, jak gdyby wszystkie zmysły pozastygały, a sama dusza jedna czuwała.

Dochodzi płoniny i usiada ażeby w otwartém podniebiu snadniéj spożywać tych cudów; w tém zalatuje go głos, ale głos któremu nic podobnego, nie tętet, nie szum, nie dźwięk, coś rzewniącego jak wieczorne pozdrowienie anielskie, coś słodkiego jak odetch dziecięcia spiącego. Zdawało się że w ten głos spłynęły wszystkie tętna wód, ziemi i niebios, i co języki mają najwdzięczniejszego, i co muzyka ludzka najmilszego, wszystko brzmiało w tym głosie. Nie był spiewem, a jednak toczył się strumieniem melodyi, nie był mową, a jednak język zrozumiały; wiedza, poezya, mądrość, wszystko zeń przemawiało. Przyjmując go, wiedziało się wszystko, czuło wszystko, i jak umysł nasz nieskończony tajemnicami swemi, takim téż i głos ten szczególny, był nieskończony rozmaitością swoją; słuchać go było i słuchać, zawsze był nowy i ponętniejszy.

Słuchał Alfus i rozpływał się w radości. Zdawało mu się że odetch mu nie powietrze syciło, lecz że za każdém tchnieniem wziewał zdrój dźwięcznéj woni płonącéj rozkoszą po całém ciele, po wszystkich członkach.

Lecz wkońcu przyćmiewać zaczęła światłość w płoninie, las się uciszał, i głos milknął.

Chwilę nieruchomy siedział jeszcze Alfus, jak gdyby ze snu się ocknął; obejźrzał się struchlały, chciał powstać i wracać, ale nogi mu podrętwiały, członki giętkość straciły. Dźwignął się z pracą, i z mozołem wracał którędy przyszedł, po czasie dopiero wybił się z lasu. Dopatrzył ścieżki, i przyspieszył kroku bo już wieczór zapadał.

Ale cóż-to się stało? poodmieniało się wszystko od czasu gdy wyszedł z klasztoru. Gdzie wprzódy krzaki były, rosły teraz stuletnie dęby, gdzie wprzódy kładka a przy niéj powoje wiły się, kładki nie było, ale most na arkadach! Mocny Boże! czy-m ja zabłądził? ale nie! pola te same, góry te same, przestrzały w widokach okręgu nie inne, a jednak wszystko się odmieniło. Przechodzi koło stawu, gdzie baby bydło poiły, słyszy jak jedna na drugę woła:

Patrz-no patrz! jakiś starnszek w habicie zakonników ołomunieckich; przecież znamy wszystkich, a tegośmy jeszcze nie widziały.

Czy poszalały baby, pomyślał Alfus, i poszedł daléj; ale z tém wszystkiém zaczął się niepokoić. Szczęściem dopatrzył dzwonicy, podwoił kroku i na przełaj ścieżką przybył pod klasztor. Nowe dziwo! Drzwi nie stały na tém samém miejscu gdzie dawniéj.

Struchlał przerażony. Sam klasztor odmienił się, wnijście było większe, gmachy rozleglejsze, platan którego sam, dni temu kilka przed kaplicą zaszczepił, teraz w drzewo się rozległ i dach osłaniał liściami.

Strwożony, coby-to znaczyło, dzwoni zlekka do fórty, i dzwonek już nie ten sam, który znał po dźwięku srebrzystym; furtyan, młody braciszek wyszedł otworzyć.

Cóż tu się stało? pyta Alfus; czy brat Antoni już nie jest furtyan?

Ja nie znam brata Antoniego, mówi furtyan młody.

Z przerażeniem Alfus przeciera oczy, czy pomieszania dostałem, czy może-to nie ten sam klasztor, zkąd wyszedłem dziś rano.

A młody mnich sam wypatrzył się na niego.

Ja już tu pięć lat furtyanem, mówi, a ciebie nie znam.

Alfus jak w obłąkaniu ogląda się wkoło, widzi mnichów w kurytarzu, woła po imieniu, żaden się nie obraca, bieży sam ku nim, w twarz im zagląda, — nie zna żadnego!

Czy mary mię prześladują? wykrzyknął; na miły Bóg bracia, patrzcie czy nikt mię nie zna? Niema tu kogo, który widywał ojca Alfusa?

Wszyscy stali nad nim nie wiedząc co myśléć.

Alfus! Alfus! rzekł sędziwy mnich jeden, tak, był tu tego imienia przed laty mnich w Ołomuńcu, starzy ludzie mawiali o nim że to był człowiek uczony, marzył i kochał się w samotności. Raz puścił się gdzieś dolinami, widziano jak wchodził do lasu, potem czekano go na próżno, i nikt się nie dowiedział gdzie się podział; lecz temu już sto lat minęło.

Słysząc to wrzasnął Alfus, bo pojął wszystko. Padł na kolana, i składając ręce w pokorze zawołał:

O mój Boże! chciałeś mię nauczyć ilem był nierozsądnym szukając miary rozkoszom niebieskim z tego co znałem na ziemi. Wiek cały minął jak dzień jeden gdym nadsłuchywał głosu twego; pojmuję teraz co znaczy raj i jego wieczne rozkosze; bądź pochwalone imię twoje Panie, i przebacz słudze twemu o Boże!

I wymówiwszy te słowa, rzucił się braciszek Alfus krzyżem na ziemię, ucałował proch świątyni pańskiéj i skonał.

Brutus Korsykański.

Pewnego dnia opowiada Gregorovius z podań korsykańskich, dezertowało dwóch grenadyerów francuzkiego pułku de Flandre, który jako genueński korpus posiłkowy stał załogą w Ajaccio. Umknęli w góry Alata i ukrywali się w lasach, gdzie żyli z miłosierdzia i gościnności ubogich pasterzy.

Święte bowiem w Korsyce prawo gościnności. Kto je nadwereża, jest według dawnego obyczaju ojców w obliczu Boga i ludzi równy Kainowi.

Gdy nadeszła wiosna, polowało kilku oficerów z pułku de Flandre w owych górach Alata. Zbliżyli się do miejsca, gdzie się ukrywali obadwa zbiegi. Spostrzegłszy myśliwych skryli się za skałę, bojąc się by ich niepoznano. W tém miejscu pasł właśnie młody pastuch trzodę owiec. Pan Rozières pułkownik grenadyerów przystąpił do niego i zapytał czyli się przypadkiem w tych górach nienkrywają zbiegli żołnierze. Niewiem, odpowiedział młody pastnch widocznie zmieszany. To obndziło podejźrzenie w panu Rozières. Zagroził pastuchowi surową karą, turmą w Ajaccio, jeżeli niepowie prawdy. Przeląkł się Józef, nic niepowiedział, ale drzącą ręką wskazał na miejsce, gdzie się skryli biedni żołnierze. Oficer niezrozumiał go. Mów, krzyknął. Józef milczał i znowu wskazał ręką. Towarzysze pnłkownika spuścili na to psy ze smyczy, i pospieszyli w oznaczoną stronę, sądząc może, że znajdą zwierza, tak bowiem mogli sobie tłumaczyć mimikę niemego pastucha.

Ale psy rzuciły się prosto na obydwóch grenadyerów; chcieli uciekać, lecz napróżno. Pojmano ich i okuto w kajdany.

Józefowi dał p. Rozières cztery luidory w nagrodę za wydanie dezerterów. Młody pastuch trzymając w ręku dukaty, zapomniał w dziecinnéj radości o oficerach i grenadyerach i o całym świecie; nigdy bowiem niewidział jeszcze szczerego złota. Pobiegł do chaty swego ojca i zwołał całą rodzinę, skakał jak szalony z radości i każdemu swój skarb pokazywał.

„Jakim sposobem zarobiłeś to złoto, mój synu?“ zapytał stary pastuch. Syn opowiedział co się stało. Za każdém jego słowem, zasępiała się coraz bardziéj twarz starca, braci przejęła zgroza, a nim Józef skończył swoje opowiadanie, pobledli jak chusta.

Święte bowiem jest prawo gościnności. Kto je nadweręży, jest według dawnego obyczaju ojców w obliczu Boga i ludzi równy Kainowi.

Stary pastuch rzucił okropnym wzrokiem na drżącego syna i wyszedł z chaty. Zwołał wszystkich krewnych, a gdy się zeszli, opowiedział im całe zdarzenie, i żądał żeby sądzili jego syna, gdyż mu się zdaje, że Józef jest zdrajca i zhańbił całe plemię i swój lud.

Sąd familijny wydał na Józefa jednogłośnie wyrok śmierci. „Biada mi i memu synowi!“ — wołał starzec w rozpaczy. — „Biada méj żonie że mi porodziła Judasza!“

Krewni udali się do Józefa. Zabrali go z sobą i zawiedli pod mury miasta Ajaccio na samotne miejsce.

„Zaczekajcie tutaj,“ — rzekł stary pastuch — „pójdę do komendanta. Będę go prosił o życie obydwóch grenadyerów. Niechaj ich życie będzie życiem mego syna.“

I poszedł do pana Rozières. Rzucił się przed nim na kolana i prosił o ułaskawienie obydwóch żołnierzy. Zdziwiony patrzał na niego komendant; dziwném mu się wydało współczucie pastucha płaczącego tak rzewnie za dwoma obcymi żołnierzami. Ztém wszystkiém odpowiedział, że zbiegi muszą ponieść karę śmierci, bo takie jest prawo. Starzec powstał i odszedł z ciężkiém westchnieniem.

Powrócił pod mur gdzie krewni stali z biednym Józefem. „Napróżno chodziłem,“ — rzekł — „mój synu musisz umierać, umieraj mężnie!“

Biedny Józef zapłakał, lecz po chwili się uspokoił i przygotowywał na śmierć. Sprowadzono księdza, by wyspowiadał Józefa i pocieszył prawdami wiary.

Było-to właśnie o téj saméj godzinie, kiedy tracono obydwóch biednych dezerterów. Biedny Józef stanął także spokojnie pod murem. Krewni mierzyli celnie, Józef padł bez życia.

Po spełnieniu wyroku, wziął stary ojciec zalewający się łzami, owe cztery luidory, dał je księdzu i rzekł do niego: „Ojcze, oddaję wam nagrodę Judasza. Jesteśmy ubodzy i poczciwi ludzie, i obsądziliśmy tego, co ją otrzymał.“ — Święte jest prawo gościnności. Kto je nadwereża, ten według dawnego obyczaju ojców w obliczu Boga i ludzi jest równy Kainowi.

Toczą się spory czy są czy niema drzew jadowitych. Ale są; Hiszpanie je nazywają Manzinello, i pewna że sok z kory, liścia i owocu tego drzewa jest trucizna zabójcza, na co lekiem ma być tylko ropa solna. Drzewo wygląda jak śliwa, a owoc podobny wydaje renetom, a sączą sok biały, mleczny, szkoda że morderczy. W tym soku moczą Indyanie swe strzały, a wiadomo ile są śmiertelne. Naturalista Bomarn robił próbę w Bruxelli z taką strzałą co już wiek cały w gabinecie leżała; na jedno pchnięcie padł pies bez duchu, i tylko zadrgnął straszliwie.

Główny Redaktor **M. Szrzeniawa Sartyni.** *Z c. k. galicyjskiéj drukarni rządowéj.*